

Na fałszywych papierach

- Kiedyś szliśmy przez Hożą zdobyć kawałek chleba dla rodziny Jerzego. Patrzymy, pięciopiętrowa kamienica przecięta na pół jak nożem. W ocalonej części normalnie meble stały, na ścianie wisiał obraz, a druga połowa legła w gruzach - wspomina Aleksandra Schmidt z Poznania, uczestniczka Powstania Warszawskiego, łączniczka i sanitariuszka organizacji „Ojczyzna”, Armii Krajowej, więzień niemieckich oflagów.

Po aresztowaniu starszego brata Mariana, zagrożona wpadką, Aleksandra musiała zniknąć z Poznania. Większość rodziny Marcinkowskich działała w konspiracyjnej w organizacji „Ojczyzna”.

- W 1943 roku na fałszywych papierach wyjechałam do Warszawy. Zresztą nie tylko ja musiałam uciekać, w stolicy szukał schronienia także Jurek Schmidt, mój przyszły mąż. Otrzymałam nową tożsamość, odtąd byłam Krystyną Witkowską, z dokumentami po zmarłej dziewczynie, bo jej śmierci nie zgłoszono w urzędzie. Musiałam się nauczyć na pamięć nowej siebie; zapamiętać nowe miejsce i datę urodzenia, że była ode mnie dwa lata starsza, że mieszkała przy Szaserów. Poszłam nawet obejrzeć ten dom...



Aleksandra Schmidt, ps. „Ewa”, „Lobelia”

„Lobelia” w powstaniu

Zamieszkała u matki Jerzego Schmidta, przyszłego męża, zapisała się na tajne nauczanie i została łączniczką w „Ojczyźnie”.

Przed powstaniem poszli na Koszykową, gdzie organizacja miała ukrytą broń. Spotkali znajomego: - Dokąd idziecie, przecież za chwilę się zacznie? Usłyszeli serię strzałów, wpadli do bramy, spojrzeli na zegarek. Wybiła 17.00. Wieczorem wiedzieli, że powstanie wybuchło.

- Z chodników wrywaliśmy bruk na barykady. Telefony jeszcze działały, chociaż trudno było się do kogokolwiek dodzwonić. Dzień był letni, ciepły miałam na sobie tylko lekką sukienkę, torebkę i sandaalki. Niewesoło, ale byliśmy podekscytowani i pewni, że Sowieci, jak tylko zobaczą powstanie ruszą na odsiecz, a oni zza Wisły spokojnie patrzyli na wykrwawiające się miasto.

Powstanie zastało ich w okolicach Wspólnej, Kruczej i Żurawiej. Działali tam chłopcy z Batalionu „Beł” Armii Krajowej. Aleksandra, ps. „Ela”, została przydzielona do sekcji sanitarnej, bo jeszcze przed wojną przeszła kurs w harcerstwie, a potem praktykę w warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus. Dowódca wymyślił im po drugim pseudonimie. I tak została „Lobelią”, wtedy nie wiedziała, że to drobne, szafirowe kwiatki. Inne sanitariuszki trafiły gorzej na „Tymianek” lub „Rumianek”. Dzień zaczynały od wymarszu z plutonem, opatrywaniu ran, transporcie ciężej rannych do szpitala. Wieczorem wracały na nocleg, codziennie w innej placówce. Na początku nie było źle, działała powstańcza stołówka, stały beczki z wodą, można było się umyć, a nieraz były całe we krwi. Potem odcięto gaz, wodę i prąd.

- Wciąż pamiętam ciężko rannego młodego chłopaka na Marszałkowskiej. Snajper postrzelił go w brzuch, mocno krwawił. Tylko szpital mógł go uratować. Z pobliskich kamienic ludzie przynieśli diabelsko ciężkie nosze, ale znaleźli się dwaj

rośli folksdojcze, którzy bez szemrania zanieśli rannego, tylko że szpital był pusty, nie było lekarza. Ranny błagał, żeby go tam nie zostawiać, jednak zbliżała się godzina policyjna, której nasi ostro pilnowali. Obiecałam dać znać jego towarzyszom z oddziału. Ledwo opuściliśmy szpital, wyrósł przed nami patrol. Uparli się zabrać nas na komendę. W końcu pokazałam im mankiety czerwone od krwi i zapytałam: - Chcecie żebym was też tak kiedyś ratowała? Opuścili.

Snajperzy zaczajeni w wieżach, na dachach, w oknach polowali na powstańców i cywilów. Jerzego też trafiła snajperska kula. Zasłaniali okna workami z piaskiem, dostał w rękę, chociaż pewnie kula była przeznaczona w serce. Jeszcze dobrze mu ręki nie włożyli w temblak, od razu pobiegł do plutonu, a do zmiany opatrunku trzeba go było prawie zmuszać. Ciągłe zajęty, ciągle w biegu, przed powstaniem zdążył zrobić akowską podchorążówkę i prawo jazdy.

Miasto grobami się znaczy

- Kiedyś szliśmy przez Hożą zdobyć kawałek chleba dla rodziny Jerzego. Patrzymy, pięciopiętrowa kamienica przecięta na pół jak nożem. W ocalonej części normalnie meble stały, na ścianie wisiał obraz, a druga połowa legła w gruzach. Widok wprost niewiarygodny – zapewne robota pocisków zwanych krowami. W końcu zdobyliśmy chleb, nieśliśmy go jak skarb, bo codziennie jedliśmy tylko kaszę okraszoną topionym masłem, od której wszyscy cierpieliśmy na rozstrój żołądka. Kiedyś Jerzy przyniósł mi udko królika, co za ucztą. Koleżanki śmiały się, że to wcale nie był królik, a w Warszawie nie ma już ani jednego psa, ani kota.

Na ogół nie było im do śmiechu. Miasto stawało się jednym wielkim cmentarzem. Grób przy grobie, jak zabrakło trawników, chowano na podwórkach, na końcu wzdłuż chodników, skąd wcześniej wyrwano bruk. Czasem powstańcy



Bohaterka artykułu po wyzwoleniu z obozu w mundurze brytyjskiej armii

przejmowali sowieckie lub alianckie zrzuty, jednak częściej wpadały w niemieckie łapy.

- Zrzuty z kukuruźników były beznadziejnie zapakowane, przy lądowaniu kasza i mąka rozsypywały się. Kluski z tej mąki trzeszczały w zębach. Raz chłopcy odważyli się rozpaść ognisko, żeby dać znać, gdzie zrzucić pojemniki. Niemcy rąbnęli w nich pociskiem, potem zbieraliśmy osobno ręce, głowy. Wszyscy zginęli. Jedna paczka zawisała na szczycie zbombardowanej kamienicy. Patrzyliśmy na nią łakomie, ale nikt nie palił się do jej zdjęcia. Trafił się pijaczyna, który wdrapał się na górę licząc na gorzałę. Radość była ogromna, słodycze, masło orzechowe, no i wódka. Zaraz ją wypił. Jeszcze dziś pamiętam jak lekarze bez skutku próbowali go uratować...

Powstanie dogorywało. Ogłoszono zawieszenie broni. Nagle po dwóch miesiącach nieustannych wybuchów bomb, świstu pocisków zaległa cisza, od której dzwoniło w uszach. Generał Antoni Chruściel „Monter” pożegnał się z powstańcami obiecując, że będą traktowani jak żołnierze. Oficerów czekał oflag, resztę stalag. W strugach deszczu pokonani szli 20 kilometrów do fabryki w Ożarowie. Wśród nich Jerzy i Aleksandra.

– Ten zakład nadal stoi, jak jadę do Warszawy, zawsze go widzę.

Brukiew i kawa z żołądźmi

Pierwszy obóz był w Lamsdorfie, czyli w Łambinowicach, tam oddzielono oficerów od niższych rangą. Przywitano ich myciem i upokarzającym odwszawianiem. Spały na trzypiętrowych łóżkach w wieloosobowych barakach. Na śniadanie podawano kawę bez smaku, niektórzy twierdzili, że z żołądźmi. Na obiad gotowana kapusta z ziemniakami lub brukwią. Mięso zobaczyły pod koniec wojny, kiedy przyjechała komisja Czerwonego Krzyża z Genewy i Niemcy chcieli pokazać jak dobrze traktują jeńców. Na apelach ustawione piątkami, bez

końca stały na placu. Po przeliczeniu mogły wrócić do baraków. Część kobiet wyszła z powstania w porządnym ubraniu, niektóre nawet w futrach, ale wiele miało na sobie tylko rozpadające się ubranie, czy znoszone buty. Przeniesiono je stamtąd po trzech tygodniach, mężczyźni zostali dłużej.

Komendantką we wszystkich obozach, przez które przeszła Aleksandra Schmidt, była Wanda Gertz ps. „Kazik”, jej zastępczynią Janina Karaś ps. „HK”.

- Od komendantki, jej wysokiej i szczupłej postaci wprost biła godność i duma. Jak się do niej zwrócił Niemiec, to spojrzała jak na gada, rozmawiała z nimi tylko przez tłumaczkę. Z kolei jej zastępczyni Janina Karaś była urodzoną organizatorką, w Warszawie współpracowała z Komendą Główną AK. Jeszcze w Lamsdorfie uznały, że na tę liczbę żołnierzy szeregowych przypada zbyt mało oficerów. Urządziły komisję, przed którą się stawiałam, opowiedziałam, co robiłam w okupację i chociaż byłam tylko plutonową, zaliczyły mnie do grupy oficerów. To były mądre kobiety, bardzo je szanowałyśmy.

Po Lamsdorfie był Mühlberg, w którym Aleksandra Schmidt spędziła około pół roku. Olbrzymi męski obóz, w którym od 1939 r. przebywali między innymi uczestnicy kampanii wrześniowej. Mężem zaufania polskiej grupy jeńców był poznaniak Leitgeber, syn właściciela sklepu, ucieszył się ze spotkania z krajanką. Przebywali tam jeńcy różnych narodowości, a wszyscy chcieli dokarmiać kobiety z Powstania Warszawskiego. Anglicy, którzy wywalczyli sobie własną kuchnię i kucharza, wzięli je na swój wikt.

Kolejny obóz, do którego trafiły kobiety z powstania znajdował się w Altenburgu w pomieszczeniach po dawnym teatrze. Widownia zasłana pryzami służyła za sypialnię. Komendantem był ponoć baron, zawsze z monoklem, prawdziwy oryginał, wcale sobie nie radził z zarządzaniem obozem. Za to przejawiał resztki ludzkich uczuć. Kiedyś rozkazał rozdać jeńcom po pół paczki żywności z Czerwonego Krzyża. Niemieckie



Jerzy Schmidt, członek organizacji „Ojczyzna” i żołnierz AK

władze obozowe regularnie otrzymywały paczki dla więźniów, ale zatrzymywały je dla siebie.

Ostatni na mapie jenieckiej wędrówki Aleksandry Schmidt był Mohldorsf. Dopiero tam otrzymała pierwszą wiadomość od Jerzego, który wciąż był w Lamsdorfie. Wojna dobiegała końca, ale nasiliły się alianckie naloty, które nie zawsze zdołały ominąć obozy jenieckie i koncentracyjne.

- Podczas bombardowań władze obozowe kazały leżeć na pryzkach, oczywiście sami pochowali się w schronach. Kiedyś o 6 rano usłyszałyśmy nadlatujące samoloty, walka toczyła się o pobliski most, alianci chcieli go uratować, Niemcy zburzyć. Nagle seria pocisków poszła po naszych barakach. W dziewczynę, która wyjrzała na zewnątrz, uderzył pocisk wyrywając jej kawał brzucha, zmarła na miejscu. Boże, była taka ładna i młoda. Rannych było więcej, jednej przestrelono nogi, innej płuca. Propaganda niemiecka odtrąbiła, że to alianci specjalnie ostrzelali obóz. Nasza komenda stwierdziła, że po pociskach ich poznać. Władze niemieckie utworzyły komisję, która uznała, że pociski padły z obu stron, ale nam ich nie pokazali.

Ostatecznie Niemcy zdecydowali się wysadzić most, a kobiety otrzymały rozkaz wymarszu do lasu na wzgórze. Z daleka obserwowały wybuch, który zniszczył most, przy okazji zawaliły się baraki. Wtedy pognali je na wzgórze Krakau koło miasteczka Blankenheim – wcześniej ośrodka Hitlerjugend.

- W wieżyczce siedział hitlerowiec, prawdopodobnie dyrektor ośrodka, który dawał nam ziemniaki, i to tylko tyle, żebyśmy nie umarły z głodu, a miał jedzenia w bród. Wkrótce przyjechali Amerykanie i zaczęli nas ostrzeliwać, bo z planów wynikało, że to jest obóz Hitlerjugend. Wyciągnęłyśmy zawczasu przygotowaną biało-czerwoną flagę, ale drań kazał ją natychmiast zdjąć. Leżałyśmy na podłodze, a dwie kobiety poszły z flagą do żołnierzy powiedzieć im, że jesteśmy Polkami z Powstania Warszawskiego więzionymi przez Niemca. Jak rąbnęli w wieżyczkę, oberwał w rękę aż krew trysnęła. Pokarało go na naszych oczach. Darł się wniebogłosy: - „Hilfe, hilfe”. Proszę



1 sierpnia 2011 r. na spotkaniu po uroczystościach rocznicy wybuchu powstania

sobie wyobrazić, że nie pobiegł do swoich po pomoc, tylko do nas. Któraś z lekarek ulitowała się i zawiązała opaskę ponad raną, żeby się nie wykrwawił. Amerykanie przyszli, zabrali go i był spokój. Trzynastka jest dla mnie szczęśliwa od tego czasu, bo właśnie 13 kwietnia nas uwolnili.

Kobiety były osłabione z głodu. Komendantka kazała więc położyć się na pryczach. Amerykanie obiecali, że druga linia wkrótce się nimi zajmie, sami pojechali do miasteczka, które bielilo się od wywieszonych flag. Dowódca oddziału stał w czołgu, wtedy jakiś zapiekły nazista strzelił i go zabił. Znowu rozpętało się piekło. Wojsko cofnęło się i ostrzeliwało miasteczko, gdzie już w każdym oknie wisiała biała flaga. Po kilku godzinach przyjechały ciężarówki z jedzeniem. Te, które rzuciły się łąpczywie na jedzenie, ciężko to odchorowały, niektóre zmarły w dniu wyzwolenia. Aleksandra nie mogła jeść, a przy jej łóżku rosła góra paczek, które potem przydały się, bo niedaleko był obóz koncentracyjny Buchenwald. Amerykanie jechali tam zawieźć jedzenie i leki.

- Zabrałam się z nimi. Nie mieliśmy pojęcia w jak potwornym stanie byli więźniowie, niektórzy nie mogli nic przełknąć, umierali. Bardzo to przeżyłam, po drodze ciągle myślałam o moim uwieczonym w obozie bracie. Zbliżał się sowiecki front, więc Amerykanie przewieźli nas do zachodnich Niemiec. Mijałyśmy Norymbergę, która została zrównana z ziemią, tylko z okien piwnic patrzyły na nas wystraszone oczy. Umieszczono nas w obozie w amerykańskiej strefie, chociaż oczywiście byliśmy wolne i mogliśmy swobodnie wychodzić. Wkrótce zaczęli przyjeżdżać mężczyźni poszukujący bliskich. Niektórzy Polacy pracujący na robotach przymusowych w fabrykach, gospodarstwach, więźniowie obozów koncentracyjnych czy jenieckich, zastanawiali się, wracać do domu, czy zostać. Aleksandra z Jerzym nie brali tego pod uwagę, w lutym 1946 roku wrócili do Poznania.